



Kryminał z myszką

55

Przeigrana stawka

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

PRZEGRANA STAWKA

Kryminał z myszką – Tom 55

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-49-2

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1962, seria „Labirynt”

Rozdział 1

Na skrzyżowaniu zapłonęły czerwone światła. Autobus „100” ruszył z przystanku, przeciął ulicę Piękną i nabierając pędu jechał Alejami w stronę Belwederu. Pasażerowie przesuwali się między ławkami, mrucząc pod nosem:

- Miesięczny.
- ... sięczny.
- ... sięczny – aż konduktor zniecierpliwił się i zawołał:
- Miesięczne proszę okazywać!

Nagle tuż za Ambasadą Węgierską wóz gwałtownie zahamował. Stojących w przejściu i zaczytanych w popołudniowych gazetach rzuciło raptownie do przodu. Ktoś zaklął, ktoś inny krzyknął w stronę kierowcy:

- Wariat! Jak on jedzie?

I natychmiast wszyscy zapomnieli o incydencie. Tylko kierowca wychylił się przez opuszczoną szybę i wściekłym wzrokiem pogonił za zieloną taksówką, która zmusiła go do tak ryzykownego zahamowania. Ale w chwilę później w oczach jego odmalowało się zdumienie, a z ust wyrwał się jakiś niecenzuralny okrzyk. Zielona warszawa tańczyła bowiem na jezdni jak podczas najzdradliwszej gołoledzi styczniowej, od chodnika do chodnika. Tymczasem zaś wieczór był suchy, ciepły, październikowy.

– Patrz pan, patrz! Co on wyprawia? – wrzasnął stojący obok kierowcy tęgi, rumiany pan.

W tej samej chwili autobus znów musiał gwałtownie zahamować przed opętaną taksówką i tęgi pan uderzył nosem w metalowy uchwyt, aż poszła krew. Tym razem jednak nikt nie wygłosił wiązanki pod adresem kierowcy autobusu. Pasażerowie, stłoczeni przy szybach po jednej stronie, z zapartym oddechem przyglądali się zielonej warszawie.

- Oho! – zawołał ktoś, usłyszawszy przez szum motoru narastający ryk syreny.

Od strony placu Trzech Krzyży pędził samochód z Komendy Ruchu Drogowego. Dwaj milicjanci, stojący na skrzyżowaniu obu Alei, wybiegli na jezdnię. Jeden z nich rozkrzyżował ręce, usiłując zmusić zieloną taksówkę do zatrzymania się. Kierowca autobusu „125”, który podjeżdżał właśnie od strony placu Unii, widząc, co się dzieje, zjechał w bok i zatrzymał się w połowie ulicy. Jakaś wołga, również taksówka, próbowała dogonić „zieloną”, ale zarzuciła na zakręcie, potracając kiosk z gazetami.

A tamta – jakby na przekór – wciąż zataczała się nieprzytomnie po jezdni. Pasażerowie dwóch autobusów, trolejbusu i paru samochodów przyglądali się tym harcom ze wzrastającym przerażeniem.

Z ogłuszającym rykiem mignął obok stojących na chodniku samochód milicyjny, usiłując „zielonej” zajechać drogę. Nim zdążył to jednak zrobić, taksówka całą siłą uderzyła o pień grubego drzewa i znieruchomiała.

Jęcząc hamulcami, zarył się tuż obok niej wóz Komendy Ruchu. Inspektor porucznik Grzędzielski wyskoczył i zbliżył się do drzewa. Widok był straszny nawet dla przywykłego do wypadków oficera. Wskutek zderzenia z pniem pękła kierownica i sztyca przebiła klatkę piersiową kierowcy. Drażki poprzeczne wraz z lewym kołem zostały urwane, a koło odrzucone dwieście metrów dalej. Silnik, wyrwany z oprawy ramy, wbił się do wnętrza samochodu, przygniatając kierowcę do siedzenia. Z na wpół uchylonych przednich drzwiczek zwisała zakrwawiona ręka o zgruchotanych palcach.

Grzędzielski zmarszczył brwi i zajął się głębiej wóz. Na tylnym siedzeniu nie było nikogo. Odwrócił się w stronę stojących tuż za nim milicjantów i mruknął:

- Miazga. Gapiów precz... Dajcie mi jakąś gazetę.
- Rozłożył podany mu numer „Życia Warszawy” i zakrył nim głowę kierowcy taksówki.
- Pogotowie Ratunkowe? – spytał plutonowy.

– Oczywiście, dla świadectwa zgonu – odparł oficer.

*

Prokurator – wysoki, jasnowłosy – niecierpliwie zabębnił palcami i poprawił czarną togę, po czym znowu utkwiał wzrok w oskarżonym. Wiedział, co o nim myśleć, przesłuchiwał go poprzednio przez długie godziny, i zdanie jego o tym młodym chłopcu, obdarzonym niezwykłą urodą, było już wyrobione. Teraz jednak chłopiec powiedział coś, co prokuratorowi nasunęło pewne wątpliwości.

Dwaj obrońcy, o ustalonej pośród warszawskiej palestry sławie, pochylili ku sobie głowy i konspiracyjnym szeptem nad czymś się naradzali. Sprawa nie była trudna. Zdecydowana większość obecnych na sali darzyła oskarżonego nieukrywaną sympatią. Sympatia ta przebijала również ze sprawozdań prasowych, dziwnie jednomyślnych we wszystkich, nawet konkurencyjnych pismach.

– Żeby nie ten nóż – powiedział półgłosem ktoś na sali – to by w ogóle nie było mowy o premedytacji.

– No to co, że kupił majchra? – odparł mu ktoś drugi.

– A pan byś nie posunął frajera kosą, jakby się do pańskiej żony przystawiał? Jego prawo było tamtemu kichy wypruć, jak pragnę zdrowia!

– Ciszej tam, proszę – sędzia spojrzał na salę. Potem zwrócił głowę w prawo: – Pan prokurator...?

– Chciałbym zapytać oskarżonego – zaczął tamten z namysłem – co rozumie przez określenie „miłość egoistyczna”? Czy oskarżony czytał utwór Tolstoja „Żywy trup”?

– Nie – odparł piękny chłopiec. – Tego nie czytałem. Ale na przykład u Prousta czy Sartre’a... – zagłębił się w filozoficznym rozważaniu.

– O jakim trupie mówią? – spytała szeptem jedna z dwóch starszych kobiet w chustkach, przysłuchujących się rozprawie z otwartymi ustami.

– Pewnie o tym ojczymie – odparła jej sąsiadka. – Przecie umarł w szpitalu.

– I ożył?

Ktoś parsknął śmiechem. Szczupły mężczyzna w szarym ubraniu spojrzał w tamtym kierunku. Jego czarne oczy skierowały się na kobietę, siedzącą w ławce o dwa rzędy dalej. Miała jasne, tłuste i źle uczesane włosy oraz bystre, jasnoniebieskie oczy, teraz pełne wesołych ogników śmiechu. Mimo pozornej nieuwagi, dostrzegła spojrzenie obcego mężczyzny. Przyjrzała mu się z aprobatą, ze zniszczonej plastikowej torebki wyjęła lusterko i pociągnęła pomadką po pełnych wargach.

Sędzia spojrzał ukradkiem na zegarek. Był głodny.

– Pan prokurator chciał jeszcze o coś zapytać oskarżonego? Panowie obrońcy...? Nie. Wobec tego zarządzam przerwę do godziny czternastej.

Biegli psychiatrzy sprzeczali się o coś z prokuratorem. Jeden z obrońców, starszy mężczyzna o czerwonej twarzy i pozornie dobrotliwym uśmiechu, przysłuchiwał się tej dyskusji z lekkim skrzywieniem wąskich warg. Siwowłosy psychiatra wymownie wzruszył ramionami i spojrzał na adwokata, jakby biorąc go na świadka sporu.

– Trzeba wczuć się w psychikę takiego młokosa, który zna życie tylko z literatury – powiedział niecierpliwie. – A w dodatku poeta! Kompleks niższości wobec tamtego. Romantyczna miłość do żony. Miłość, jaka się dziś prawie nie zdarza. Prawda, panie mecenasie? – pochylił się w jego stronę, odrzucając, w tył białe, gęste włosy.

– Mniej więcej to samo panu wczoraj mówiłem – rzekł prokurator spokojnie. – Treść ta sama, tylko mówimy każdy z innej pozycji. Nie wolno bezkarnie zabijać, nawet w imię znieważonej „romantycznej” miłości. Przepraszam, idę do bufetu coś przegryźć.

Część osób z sali wyszła na korytarz, reszta rozmawiała półgłosem. Dwaj młodzi mężczyźni wspólnie czytali kronikę wypadków w „Życiu Warszawy”.

– O, widzisz? – jeden pokazał palcem małą notatkę. – To ten wypadek na Szucha. Ten, cośmy widzieli. Patrz, tu pisze: „Kierowca zmarł natychmiast”. No, myślę! Głowę miał jak marmolada.

– Nazywał się Władysław Bruzik – powiedział jego kolega. Oderwał wzrok od gazety i zamyślił się na chwilę.

– Napisali, jak to się stało? – spytał po chwili.

– Nie. Pewnie był na bańce. Widziałeś, jak wóz tańczył po jezdni? Wariat, pod taką muchą siadać za kółkiem... Chodź, pójdziemy na piwo.

Wstali. Gazeta zsunęła się na podłogę. Nie zauważyli tego, kierując się w stronę wyjścia. Kobieta o jasnych, tłustych włosach szybkim ruchem schyliła się i wyciągnęła „Życie Warszawy” spod ławki. Twarz jej pełna była teraz jakiegoś napięcia, a pomalowane wargi lekko drżały. Niewprawnie, jak ktoś, kto nieczęsto zagląda do gazety, przerzucała strony, szukając widocznie jakiejś wiadomości. Wreszcie odnalazła ją. Leciutko poruszając ustami, czytała wolno, uważnie i długo. O wiele za długo, nawet jak na człowieka, który czytaniu mało czasu poświęca. Uważny obserwator mógłby z łatwością zauważyć, że odczytywała notatkę kilka razy.

Wreszcie złożyła starannie gazetę, obejrzała się za siebie, potem szybko zgięła ją we czworo i z pewnym wysiłkiem wepchnęła do małej torebki, wstała i wyszła z sali. Mężczyzna w szarym ubraniu pogonił za nią wzrokiem. Jego lekko śniada twarz, o regularnych rysach, wyrażała w tej chwili niezdecydowanie. Widocznie wahał się, czy pozostać na sali, czy pójść za kobietą. Tymczasem jednak prokurator wrócił już z bufetu, a dojrawszy czarnookiego mężczyznę, uśmiechnął się i począł iść w jego kierunku. Tamten wstał więc, wyszedł mu naprzeciw i zaczęli o czymś z cicha rozmawiać. W tym momencie jasnowłosa kobieta opuszczała już gmach sądów i schodziła po szerokich kamiennych schodach.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI